

„Nasza ziemia, nasz dom – pamiętnik pokoleń”

Julia

10 lutego 1940 roku rozpoczęła się wywózka polskiej ludności, która zamieszkiwała wschodnią część swojej ojczyzny. Na kresach mieszkali pradiadkowie ze strony mojej mamy w miejscowości Zofiówka, powiat Trembowła, województwo Tarnopol. Mama mojej prababci w wieku 16 lat wyjechała do Stanów Zjednoczonych, do pracy. Miała wrócić po dwóch latach, ale w tym czasie wybuchła I wojna światowa i rodzice nakazali jej zostać do zakończenia działań wojennych. Wróciła do Polski w 1919 roku, kiedy Polska odzyskała niepodległość po 123 latach niewoli. Wyszła za mąż i za zarobione pieniądze, kupiła z mężem w 1922 roku, ziemię na terenie Polski wschodniej. Wraz z mężem i jego rodzicami przenieśli się z okolic Żywca do Zofiówki. Tam mieli nieduży dom i kilka hektarów ziemi. Żyło im się bardzo dobrze, urodziło im się czworo dzieci, rozpoczęli budowę nowego domu. Takie spokojne i szczęśliwe życie w gronie rodziny, przyjaciół mieli aż do pamiętnego 10 lutego 1940 roku.

W mroźny sobotni poranek około godziny szóstej, kiedy jeszcze wszyscy spali, nagle ciszę przerwał ostry łomot do drzwi domu. Wszyscy struchleli, nie oznaczało to nic dobrego. Ojciec prababci otworzył drzwi do mieszkania, weszło dwóch enkawudzistów, dwóch żołdatów z karabinami oraz dwóch ukraińskich cywilów. Enkawudzista wyjął z teczki dokument i wyczytał nazwiska domowników. Ręką dał znać, by wszyscy stanęli pod ścianą z podniesionymi do góry rękami i rozpoczął rewizję. Po rewizji oznajmił, że są ewakuowani do innego powiatu, nakazał zabrać ze sobą żywność, odzież, pościel, piły i siekiery i dał godzinę na spakowanie się. Ojciec prababci zastanawiał się, po co im siekiery i piły. Prababcia zdjęła ze ściany obrazy i chciała je zapakować, ale żołdat zabronił jej, więc rozbiła szkła, wyjęła z ram same papierowe obrazy i schowała do skrzyni z odzieżą. Kiedy się spakowali, przenieśli skrzynie i worki na sanie, które były już podstawione pod dom. Kiedy wszyscy weszli, sanie ruszyły. Prababcia opowiadała, że jej ojciec odwrócił się, spojrzał na dom i zapłakał. Zostawił osiemnastoletni dorobek swojego życia, którym się cieszył i układał plany na przyszłość. Kiedy dojechali do krzyżówki za ich miejscowością, czekały tam sanie z Polakami z całej kolonii i pobliskich miejscowości. Korowód ruszył w kierunku stacji kolejowej Dereniówka, która była oddalona o kilka kilometrów. W Dereniówce na stacji kolejowej stał bardzo długi wąż wagonów bydłowych. Było ciemno, przy oświetleniu latarkami zaczęto otwierać wagony i wyczytywać nazwiska i imiona. Huk zasuwanych drzwi odciął ich ostatecznie od wszystkiego, co było dotychczasowym życiem. Jechali długo nie wiedząc dokąd, nie mogli zorientować się w jakim kierunku, dopiero mężczyźni wywiercili otwór w ścianie wagonu i kiedy pociąg zatrzymał się na stacji poznali, że jest to stacja graniczna ze Związkiem Radzieckim. Na granicy przesadzili ich do innych wagonów, które stały na szerokich torach. Byli wychłodzeni w cuchnącym wagonie, którego ściany były sine od mrozu. Na środku wagonu stał mały piecyk, obok w podłodze wycięta dziura służąca za toaletę. Po obu stronach wagonu z desek zbite piętrowe ławy do spania. Na górnej ławie było nieco cieplej, natomiast na dole zimno nie do zniesienia. Okna wagonu zabite deskami, przez szpary wpadało w dzień

niewiele światła. Pociąg od czasu do czasu zatrzymywał się, żeby mężczyźni nabrali wody i drzewa do piecyka, oczywiście pod osłoną karabinów.

Prababcia opowiada, że jechali tym pociągiem trzy tygodnie, widzieli przez szpary ten „bogaty” komunistyczny kraj, liche chatki z dziurawymi dachami, oknami z pozatykanymi szmatami, przy chałupach kozy przywiązane pod daszkiem, żadnych zabudowań gospodarczych. Ludzie mieli przy sobie żywność zabraną z domów, gotowali na zmianę zupełną na małym piecyku. Była to wielka mordęga, woda rozlewała się z garnka przy nieustannym kołysaniu wagonu. Musieli jakoś dzielić się na zmianę gotować, ponieważ w wagonie było około 60 osób. Co jakiś czas pociąg zatrzymywał się, ponieważ niektórzy, zwłaszcza małe dzieci i chorzy, czy ludzie starsi, nie wytrzymywali trudów podróży i umierali. Mężczyźni w zamrzniętej ziemi kopali doły i tak grzebano zmarłych, zostawiając ich na nieludzkiej ziemi. Do celu dojechali 6 marca, prawie po miesiącu podróży, ze stacji przewieźli ich saniami do miejscowości Syktywkar, republika Komi. Rozlokowano ich w barakach po kilka rodzin. Dowiedzieli się, że będą pracować w lesie przy wyrębie drzewa i wtedy zrozumieli dlaczego kazano im zabrać piły i siekiery. Kobiety powyżej 16 lat pracowały przy wyrębie lasu, a mężczyźni transportowali drzewa na brzeg rzeki. Moja prababcia miała już 18 lat i z siostrą zostały skierowane do lasu, gdzie pracowały od świtu do zmierzchu. Piłowały wielkie drzewa, musiały uważać, żeby nie spadły na nie. Następnie odcinały boczne gałęzie, a mężczyźni wywozili drewno w kierunku rzeki. Na wysokim brzegu rzeki, wzdłuż jej koryta, wyznaczano place na stosy pni. Układano je równolegle nad urwiskiem. Kiedy woda sięgała stosów bali i rwała z siłą i prędkością, wówczas ludzie stracali pnie do rzeki. Wielu Polaków zapłaciło zdrowiem, kalectwem, a nawet życiem. Całą pracę zimowego wyrębu drzewa trzeba było zepchnąć na rzekę w ciągu kilku dni, póki objętość wody nie powodowała spiętrzeń ładunku. Zapasy przywiezione z Polski kończyły się, za pracę w lesie ludzie otrzymywali po 400 gram czarnego, ciężkiego chleba oraz talerz zupy w stołówce, sama woda i gdzieś tam pływał liść czarnej kapusty. Zupa nazywała się „szczy”. Jeżeli zdechł w lesie koń, to było wiadomo, że kto wyrobi normę dostanie kawałek koniny - skóra i kości. Psów już w Syktywkarze nie było, bo Polacy z głodu łapali je i jedli. Prababcia opowiadała, że ojciec jej nie ruszył psa, mówił, że woli umrzeć, niż go zjeść. Pracował bardzo ciężko, był wątłego zdrowia, wycieńczony pracą i chorobą, dostał zapalenia wyrostka i umarł. Znajomy Polak z desek zbił trumnę, którą prababcia z siostrą i mamą zawiozły za miasto wózkami, wykopały w zamrzniętej ziemi dół i pochowały ojca. Zrobiły z brzozy krzyż i przybiły tabliczkę z wrytym nazwiskiem i imieniem. Najgorsza była zima w tajdze. Trudno było znaleźć coś do jedzenia, ludzie przeszukiwali nawet śmietniki. Któregoś dnia prababcia poszła z koleżanką na drugi koniec miasta, znalazły stołówkę i zobaczyły, że na śniegu były rozrzucone obierki ziemniaków. Uradowane padły na kolana i do woreczków pozbierały ze śniegu zmarznięte łupiny. Nagle zza rogu wyszła strażniczka z bronią i dużym psem. Pies rzucił się na nie, a strażniczka kolbą karabinu uderzyła koleżankę po plecach. Kazała im wysypać łupiny i wygoniła strasząc, że je zastrzeli. Przez całe lato ludzi nękała malaria, skutki ukąszeń komarów, silna gorączka i dreszcze. Wielu Polaków dostawało kurzej ślepoty. Władze bojąc się, że zabraknie rąk do pracy szybko postarały się o tran, bo groziło to przerwaniem roboty. Po użyciu tranu ślepotą po mału ustępowała. Oprócz malarii ludzie mieli wszawicę i panował

głód. Brak odpowiedniej higieny i środków piorących powodowało, że bardzo trudno było pozbyć się tych insektów.

Po dwóch latach pobytu w Syktywkarze, niedaleko powstał polski sierociniec, gdzie umieszczali sieroty. Matka prababci udała się do Polskiej Delegatury i prosiła, żeby przyjęli do sierocinca jej dwoje młodszych dzieci, ponieważ groziła im już śmierć głodowa. Najpierw nie chcieli się zgodzić, ponieważ dzieci były półsierotami. Sierociniec znajdował się w miejscowości Wilgorł. W sierocincu musieli uczyć się języka rosyjskiego. Takie ciężkie życie, w głodzie, chłodzie, pracując ponad siły na nieludzkiej ziemi, rodzina prababci wiodła do późnej jesieni 1944 roku, a więc cztery i pół roku.

W czasie pobytu na Syberii, gen. Władysław Sikorski ewakuował w 1942r. poskie rodziny. Część ludzi jechało pociągiem do Krasnowodzka i tam okrętem do Persji, a stamtąd do Europy. Brat pradziadka zaciągnął się do armii Andersa i przeszedł szlak bojowy od Afryki do Europy. Walczył pod Monte Casino we Włoszech i ostatecznie zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Do Polski nigdy nie wrócił, ponieważ dowiedział się, że tych co walczyli zamykają w więzieniu, a nawet wywożą na Syberię. Na terenie Związku Radzieckiego w 1943r. utworzona została I Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Tysiące Polaków, którzy nie dostali się do armii Andersa ściągnięto do Sielc nad Oką. Wygłodzeni, wynędzniali, zostali umundurowani i rzućeni w wir wojny, gdzie przeszli chrzest bojowy w bitwie pod Lenino. Była to rzeź Polaków zatuszowana odpowiednią propagandą. W armii tej służył drugi brat mojego pradziadka, którego rodzina została wywieziona z Hajnówki koło Białowieży, aż za Ural. Polacy dobrowolnie raczej tam nie szli, albo musieli, albo zmuszał ich głód. Wierzyli, że walcząc w armii dostaną odzież i żywność. Brat pradziadka brał udział w walkach od Lenino, aż po Berlin.

W 1944 roku rodzina prababci została przetransportowana na Ukrainę. Tam dostali lokum w starych domach, w których trzeba było zalatać dziury lub naprawiać drzwi i okna. Moja prababcia jak dojechała, była już tak wycieńczona i chora, że Ukraińcy dawali jej dwa tygodnie życia. W sowchozie z początkiem kwietnia 1945 r. nie było już śniegu i ludzie przystąpili do pracy. Rozpoczynano od palenia traw i chwastów, ponieważ utrudniałyby wyrastanie nowych roślin. Po tym rozpoczęła się orka i zasiew. Kobiety i dzieci pracowały od świtu do zmroku. Sowchoz dawał chleb, czasem dowożono zupę na pola. Zmieniono uprawy na poszczególnych odcinkach pól. Siano zboża, buraki, arbuzy, sadzono ziemniaki. Moja prababcia przed wojną ukończyła szkołę kupiecką, więc Ukraińcy zatrudnili ją do pracy w magazynie. Warunki troche się polepszyły, było cieplej, ludzie dostawali przydział zboża, mąki i ziemniaków. Nie głodowali już tak, jak na Syberii. I tak mijały im letnie dni, nie różniące się jeden od drugiego, chyba tylko rodzajem prac na polu. Sowchoz potrzebował męskiej siły. Liczył na mężczyzn wracających z wojny.

Latem 1945 roku w polskich rodzinach nastroje zaczęły się zmieniać. Któregos dnia przyjechała do Sowchozu delegacja utworzona z Polsko – Rosyjskiej Delegacji do Spraw Ewakuacji Ludności. Dnia 6 lipca 1945 r. została podpisana przez rząd Polski i ZSRR ustawa o trybie i organizacji ewakuacji Polaków do ojczyzny. Ewakuacja wymagała opracowania planów. Transport kolejowy nie mógł podolać wszystkich jednocześnie. Ludzie dowiedzieli

się, że wielkie mocarstwa ustaliły na Konferencji Krymskiej nowe granice Polski. Wschodnie granice: wzdłuż Bugu i od Brześcia na północ, a zachodnie: wzdłuż Odry. Rodziny, które nie będą chciały zostać na dawnej wschodniej granicy polskiej (zachodnia Ukraina i zachodnia Białoruś), będą mogły jechać od razu na ziemie zachodnie. Zostali poinformowani, że otrzymają karty repatriacyjne i będą stopniowo wyjeżdżać do Polski.

Rodzina prababci opuściła Ukrainę w lutym 1946 roku. Na ziemie zachodnie do Legnicy przyjechali transportem w marcu 1946 roku i zostali skierowani do Prochowic. W Prochowicach prababcia poznała mojego pradziadka, który również został tu przywieziony i w 1947 roku zawarli związek małżeński. Żyją do dnia dzisiejszego. Mają czworo dzieci, 11 wnuków i 19 prawnuków. Często opowiadają nam historię swojego życia, zwłaszcza to co przeszli na Syberii. Przez wiele lat żyli w nieustannym lęku o siebie i o swoich najbliższych. Czy przeżyją następny dzień, czy nie zamarzną, czy nie dobije ich gorączka, głód i strach. Sześć lat zesłania to jednocześnie utrata ładnego kawałka życia. To przekreślenie i wyrwanie z życia wielu szans na przyszłość. Przy życiu podtrzymywała ich modlitwa i patriotyzm oraz wiara, które wynieśli ze swoich domów. Ci którzy wrócili po 6 latach zesłania, dziękowali za to opatrności, mimo że wrócili biedniejsi na zdrowiu fizycznym, z urazami duszy i zniszczeni materialnie, ale wrócili.

Moja babcia ma teraz 96 lat. Razem z dziadkiem mieszkają nadal w Prochowicach. Doczekali się 11 wnuków i 18 prawnuków. Często spotykamy się u dziadków w tak dużym gronie rodzinnym. Wtedy dziadkowie często nam opowiadają o swoich przeżyciach i mówią, jak ważna jest miłość do Ojczyzny, tej dużej i małej. Wtedy jestem dumna, że jestem ich wnuczką, raczej prawnuczką. Bardzo ich kocham i szanuję.